

## Jan Rokita: Polskie sine qua non

Polityczne centrum Europy nieuchronnie musi się przesunąć w stronę wschodu, a budowana przez dziesięciolecia wokół Renu „Europa karolińska” stanie się jeszcze większym anachronizmem. To z kim Ukraina będzie w sojuszu, a z kim toczyć będzie polityczny spór, nie będzie już dla całej Europy bez znaczenia – pisze Jan Rokita w kolejnym felietonie z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

Dla przyszłej geografii politycznej Wschodniej i Środkowej Europy wypchnięcie wojsk rosyjskich hen, aż za rozlewiska Dniepru, jest faktem o znaczeniu trudnym do przecenienia. Patrząc na sprawy z perspektywy bardziej politycznej niżli militarnej, nic bardziej doniosłego nie zdarzyło się dotąd w toku tej wojny, od czasu kwietniowego odstąpienia przez Moskali od oblężenia Kijowa. Te dwa zdarzenia przesądzą bowiem o wyzwoleniu spod moskiewskiej okupacji całej Prawobrzeżnej Ukrainy, z silną i naturalną linią demarkacyjną, jaką stanowią teraz rozlewiska dolnego i środkowego Dniepru. A to, jeśli geografie transponować na politykę, oznacza nieoczywiste jeszcze do niedawna ocalenie suwerennej państwowości ukraińskiej, nie tylko bez względu na dalsze losy wojny toczonyj teraz na Ukrainie Lewobrzeżnej, lecz także niezależnie od niepewnych wyników negocjacji rozejmowych, do których Kijów za jakiś czas zapewne zostanie przymuszony przez Amerykanów.

Nie znaczy to bynajmniej, że wielkie miasta Prawobrzeżnej Ukrainy – Kijów, Odessa, Lwów czy Dniepr nie będą już w toku tej wojny terroryzowane i druzgotane rosyjskimi atakami powietrznymi. Raczej będą, a pytanie jest tylko o skalę i intensywność nalotów. Ów terror i zniszczenia siane z powietrza mogą za czas pewien zmiękczyć władze Ukrainy, a dodawszy do tego amerykańską presję, skłonić je do zawarcia rozejmu na warunkach, które jeszcze dziś prezydent Zeleński kategorycznie odrzuca. Czyli przede wszystkim do pogodzenia się z zaciśniętymi zębami z faktem drugiego już, po roku 2014, rozbioru terytorium państwa ukraińskiego, wykraczającego zapewne poza Krym, którego oddania domaga się ostatnio od Zeleńskiego rząd Bidena (jak się właśnie dowiadujemy z celowych i kontrolowanych przecieków prasowych, czynionych w Waszyngtonie). Na dziś los całej Lewobrzeżnej Ukrainy pozostaje niepewny, tyle tylko, że to już jest niepewność całkiem innego rodzaju, niżli ta, z którą żyliśmy do tej pory. Tamta była bowiem niepewnością, czy aby po wojnie okaże się w ogóle możliwe dalsze istnienie państwa ukraińskiego, nie poddanego jakiejś, choćby na pozór łagodnej, formie moskiewskiego zwierzchnictwa. Po wypchnięciu Moskali za Dniepr można już bezpiecznie założyć, że po tej stronie rzeki będzie jednak suwerenna Ukraina. A co się stanie po drugiej stronie – to czas dopiero pokaże.

Jeśli tak, to na porządku dziennym staje pytanie o warunki brzegowe, określające polskie interesy w toku przyszłych, na razie jeszcze hipotetycznych rokowań rozejmowych. Wiemy, że wydarzenia roku 2022 głęboko odmieniły kształt polityki polsko-ukraińskiej, przede wszystkim wywołując historyczny zwrot Ukrainy w stosunku do Polski. (Nawiasem mówiąc, to jeden z tych rzadkich przypadków, kiedy przymiotnika „historyczny” użyć można nie dla okazania uczuciowej emfazy autora, ale po prostu – dla myślowej precyzji opisu). Jest to

*Na dziś los całej Lewobrzeżnej  
Ukrainy pozostaje niepewny,  
tyle tylko, że to już jest  
niepewność całkiem innego  
rodzaju, niżli ta, z którą  
żyliśmy do tej pory*

zwrot, który na  
naszych oczach  
uchyla właśnie  
kilkusetletnie  
złowrogie skutki  
znanych wydarzeń z  
XVII wieku, których  
symbolem pozostaje  
powstanie  
Chmielnickiego. Że

jest to zwrot rzeczywisty, za którym stoi nie tylko nowa polityka rządu w Kijowie, ale także mentalna metamorfoza ludu ukraińskiego, przekonujemy się ostatnimi czasy nieustannie. Najnowsze dowody dostaliśmy przy okazji Święta 11 Listopada, gdy usłyszeliśmy najpierw Zeleńskiego, dobrą polszczyzną mówiącego do nas o ukraińskiej „przyjaźni dla Polski na zawsze”, „miłości dla Polski na zawsze”, i o tym, że nasze dwa kraje „razem będą odtąd zwycięzcami”. A potem z prezydenckiej kancelarii w Kijowie dobiegł głos ważnego doradcy – Aleksiego Arestowicza, po raz kolejny poszukującego na przyszłość modelu „ściśłego polsko-ukraińskiego sojuszu, który miałby moc, aby ustanowić w Europie Wschodniej całkiem nowe reguły gry”.

Skoro wiemy już, że suwerenna Ukraina przetrwa, to jest jasne, że bez względu na kształt swych południowo-wschodnich granic, pozostanie nadal po wojnie państwem kluczowym dla polityki europejskiej. Raz – z powodu siły militarnej, już dziś plasującej ją w rządzie potęg europejskich. Dwa – przez programy odbudowy, które uczynią z niej centrum aktywności biznesu i kapitału. Trzy (i to pewnie czynnik kluczowy) – z racji politycznego prestiżu kraju, który ocalił własną wolność, więc nie da się już „zepchnąć”, ani „uciszyć” jego oczekiwań co do politycznego ładu Europy. Jedno jest pewne: to nie będzie już

peryferyjna i nic nie znacząca Ukraina, z jaką mieliśmy do czynienia przed rokiem 2022. W tym sensie polityczne centrum Europy nieuchronnie musi się przesunąć w stronę wschodu, a budowana przez dziesięciolecia wokół Renu „Europa karolińska” stanie się jeszcze większym anachronizmem. To z kim taka Ukraina będzie w sojuszu, a z kim toczyć będzie polityczny spór, nie będzie już dla całej Europy bez znaczenia. Przed obecną wojną, w czasach prezydentury Poroszenki, Ukraina powracała do starej i znanej z historii roli politycznego klienta Berlina. Dziś wiadomo, że tamten czas minął, i to niezależnie od większej czy mniejszej roli, jaką biznes niemiecki może odegrać w powojennej odbudowie.

Idea „ściśłego sojuszu z Polską”, jaka ustawicznie powraca w wojennym Kijowie, wymaga więc roztropnego i umiejętnego podjęcia w Warszawie. Zdaje się, że po polskiej stronie najlepiej rozumie to prezydent Duda, ale chyba także nieźle Kaczyński. W opozycji – wyraźnie słabiej z tym rozumieniem jest u Tuska, ale całkiem dobrze u Kosiniaka-Kamysza. Rzecz jednak w tym, iż możliwości takiego sojuszu politycznego i wojskowego mogą zostać zablokowane, albo w każdym razie mocno utrudnione, niekorzystnym dla Polski kształtem hipotetycznego rozejmu, narzuconego przez Amerykanów. Jeśli Zełeński miałby zostać za czas jakiś zmuszony do pogodzenia się z częściowym rozbiorem Lewobrzeżnej Ukrainy, to ceną za to winno być natychmiastowe i pełne członkostwo okrojonej Ukrainy w NATO oraz jej dostęp do jednolitego rynku unijnego, niezależnie od tego, kiedy i czy w ogóle kiedykolwiek, miałyby się zrealizować na dziś mało realistyczne plany Kijowa co do przystąpienia do Unii.

Na oba te warunki przyszłego rozejmu można patrzeć, jako na obiektywny interes Ukrainy. Rzecz jednak w tym, że to są również warunki *sine qua non* polskiego interesu, wymagające zagwarantowania w toku coraz prawdopodobniejszych negocjacji rozejmowych. Możemy i zapewne powinniśmy wspierać Zeleńskiego w jego żądaniu odzyskania pełnej kontroli nad okupowanymi terytoriami państwa ukraińskiego, i to nawet jeśli Polska (pewnie wraz z Litwą) miała zostać ostatnim przyczółkiem takiego poparcia. Taka stuprocentowa lojalność nie tylko ma w sobie coś szlachetnego, ale się też Polsce po prostu opłaca. Jednak z perspektywy partykularnego polskiego interesu, spór o dalekie wschodnie granice Ukrainy nie jest kluczowy, o ile tylko okrojona terytorialnie Ukraina zostałaby objęta traktatem NATO i stała się częścią europejskiego rynku. Dla Kijowa oznaczałoby to bezpieczeństwo oraz wolny dostęp do Europy dla ukraińskich produktów i usług. Wspólnie dla Kijowa i Warszawy – byłoby to odblokowanie możliwości swoistej „wzmocnionej współpracy”, tak, gdy idzie o ścisły alians militarny, jak i stopniową integrację gospodarczą.

*Spór o dalekie wschodnie granice Ukrainy nie jest kluczowy, o ile tylko okrojona terytorialnie Ukraina zostałaby objęta traktatem NATO i stała się częścią europejskiego rynku*

I odwrotnie.  
Narzucenie Ukrainie jakichś, nawet miękko sformułowanych, wymogów neutralności skutkować będzie międzynarodową blokadą możliwości

polsko-ukraińskiego sojuszu wojskowego. W gruncie rzeczy każda inna

forma gwarancji bezpieczeństwa dla Ukrainy, niżli natychmiastowe członkostwo w NATO, grozi utrudnieniem przyszłego polsko-ukraińskiego aliansu militarnego, a to ze względu na możliwe kolizje z niezbyt precyzyjnymi, lakonicznymi postanowieniami Traktatu Waszyngtońskiego (zwłaszcza jego art. 8). Z kolei każde ograniczenie dostępu Ukrainy do jednolitego europejskiego rynku ustanowi dotkliwą granicę gospodarczą pośrodku drogi łączącej Lwów z Rzeszowem. Stworzy zatem podobną barierę, jak ta pomiędzy Anglią i Irlandią, wokół której narasta właśnie niezliczona liczba konfliktów. Wiedzą o tym dobrze nie tylko na Kremlu, ale i w stolicach zachodnich, gdzie wizja zbyt ścisłego sojuszu Warszawy i Kijowa wywołuje coraz bardziej widoczne zaniepokojenie. Byłoby więc naiwnością sądzić, że w toku negocjacji rozejmowych nie zostaną uruchomione wszystkie hamulce, które mogłyby możliwość takiego sojuszu zablokować, albo co najmniej znacząco go utrudnić.

*Jan Rokita*